



Wędrówka na przełęcz Sentinel Pass (tuż przed spotkaniem ze strażnikiem przyrody) na tle Dziesięciu Szczytów (fot. D. Jaworska).

PRZYJACIELSKIE GÓRY SKALISTE I NIE TYLKO..

Andrzej Kulig
Danuta Jaworska

Danuta i Darek Jaworscy pojawili się na łamach „Echa Limanowskiego” po raz pierwszy w majowo-czerwcowym numerze w 2007 r.¹ Blisko 8 lat temu odbyliśmy razem niezapomnianą wyprawę w argentyńskie Andy na najwyższy szczyt Ameryki Południowej. Z tej wyprawy przywiozłem, oprócz fantastycznych wrażeń, bardzo sympatyczną znajomość, przeradzającą się z czasem w przyjaźń. W 2014 roku przygotowywałem wyprawę do parków narodowych w Stanach Zjednoczonych. Pojawiła się okazja do kilkudniowego spotkania w Vancouver z D&D, jak nazwaliśmy w Argentynie Dankę i Darka. Ostatecznie nic z tych „amerykańskich planów” nie wyszło. W tych okolicznościach, 17 marca ub.r. Danka zaproponowała w e-mailu: „... Skoro nie wyszły kaniony USA, to może rozpatrzysz przyjazd tu do nas na dłużej niż tydzień... Tak powiedzmy na 2 tygodnie lub nieco więcej. Do oryginalnego programu moglibyśmy wtedy dodać Góry Skaliste (bardzo piękne!), na które dobrze byłoby mieć 8-10 dni.” I tak się zaczęło.

Wolny czas jest zbyt cenny, by podróżowanie pozostawić przypadkowi.

Warszawa i Londyn – Vancouver on line

Planując wyprawę w Góry Skaliste, pamiętam o 10 przykazaniach zdefiniowanych przed wyprawą na Kilimandżaro. Kupuję solidne buty, zabieram dobry aparat i pamiętam o znaczeniu towarzystwa. Danuta i Darek, z którymi wybieram się w Góry Skaliste, to doświadczeni turyści górscy i jak się okaże, żeglarze. Andyjska wyprawa na Aconcaguę w Ich towarzystwie była przyjemnością. Dwunastogodzinny lot do Kanady, z krótką przesiadką w Londynie,

to dobry czas na „opadnięcie kurzu” po bieżących stołecznych sprawach i wewnętrzne przygotowanie na przygodę. Po wylądowaniu natychmiast zostaję „przechwycony” przez D&D. I zamiast do domu jedziemy do... Richmond. Odwiedzamy historyczną i turystyczną dzielnicę Steveston. Następnie udajemy się do „klimatycznej” wioski Finn Slough, gdzie Finowie osiedlali się w domkach zbudowanych na wodzie, które władze lokalne chcą teraz likwidować. W domu pojawiajemy się dość późno. Idąc spać ok. 12 w nocy, kończy się moja, licząca 33 godziny, doba.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Po paru latach wstępnych planów pójścia z Andrzejem w Kanadyjskie Góry Skaliste, 17. lipca 2014 r. nadszedł dzień wyruszenia na tę wyprawę. Zaczynamy od pakowania samochodu, co musi być zrobione logicznie, aby potem nie szukać na przykład szczoteczki do zębów wśród kubków do picia. Ponieważ będziemy się zatrzymywać głównie na polach namiotowych, bierzemy mnóstwo szpargałów typu „przydasie”. No i prowiant, składający się z puszek oraz produktów nie psujących się łatwo. Później dokupimy świeże wiktuały. Po około godzinie wszystko jest strategicznie upakowane i wyruszamy.

Początkowo jedziemy na wschód, w stronę Hope, autostradą #1, jedyną w Kanadzie, która łączy wybrzeża wschodnie i zachodnie. Nie jest to autostrada „z prawdziwego zdarzenia”, z jakich korzystamy obecnie w Polsce, ponieważ na dość dużych odcinkach posiada tylko po jednym pasie w każdą stronę. A ponieważ prowadzi nas przez tereny górzyste, jest dość kręta. W takich warunkach wyprzedzanie kolumny ogromnych ciężarówek staje się nie lada zadaniem dla kierowcy.

PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE

Droga staje się coraz bardziej kręta i górzysta. Zbliżamy się do Gór Skalistych. Po dziesięciu godzinach ukazuje się nam prawdziwa niespodzianka - pięknie odsłonięta i oświetlona zachodzącym słońcem Mount Robson - najwyższy szczyt Kanadyjskich Gór Skalistych (3.954 m n.p.m.), zazwyczaj spowity jest w chmurach, dlatego dzisiejszy widok jest niespodzianką. Otaczająca go dolina to cel naszego czterodniowego trekkingu do

miejsz biwakowych i kempingów wędrowniaka staje się trudniejsza. Widać że przejście od miejskich wygod do pełnego interioru jest dość gwałtowne. Coraz bardziej mokrzy i zmęczeni pniemy się w górę doliny. Na szlaku praktycznie pusto. Na całej trasie mijamy chyba 4 backpackerów. Nie licząc tych ukrytych w namiotach. Na miejscu biwakowym pojawiają się po ośmiu godzinach wędrowniaki. Kontemplowanie widoków pozostawiamy na drogę powrotną, licząc, że pogoda będzie łaskawsza. W deszczu rozkładamy namiot. Na dodatek bezobsługowe schronisko (shelter) na kempingu jest nieczynne z powodu rozbudowy. Po szybkiej kolacji zmęczeni kładziemy się spać. Miło jest zasypiać w leśnej ciszy, nad brzegiem jeziora, do którego wpada jezioro lodowca Robson.

Rano, nie czekając na zmianę pogody, wyruszamy na całodzienny trekking. Od wodospadów Toboggan Falls mamy do wyboru różne trasy. Wybór pada na wspinaczkę do jaskini. Potem wędrujemy grzbietem góry aż do granicy Kolumbii Brytyjskiej z sąsiednią Albertą. Po przeciwległej stronie doliny rzeki widać Mount Robson - w końcu w słońcu - oraz jezioro jego lodowca, do których planujemy się zbliżyć jutro. Dzisiaj podziwiamy jeszcze piękną tęczę, która rozwinęła się przed nami w tej deszczowo-słonecznej pogodzie.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Trekking Snowbird Pass

Dzień wyjścia na Snowbird Pass zaczyna się pogodnie. Po szybkim śniadaniu oraz spakowaniu plecaków wyruszamy w stronę, z której wczoraj przybyliśmy. Droga początkowo wiedzie przez deltę rzeki. Po około godzinie zaczynamy piąć się granią w górę. Po prawej stronie widzimy dość strome zbocze moreny bocznej, która schodzi w dół do jeziora o mlecznym kolorze. Tu wpływają topniejące wody lodowca Robson (stąd mleczny kolor), którego ogrom jawi się nieco wyżej, stąd widoczny jest w całej okazałości. Spływa z niewidocznego dla nas pola lodowego i wije się wstęgami w dół, tworząc efekt autostrady, tak charakterystycznej dla lodowców. My pniemy się po jego lewej stronie i na pewnej wysokości napotykamy łańcuchy i dość strome schody. Krajobraz zaczyna przypominać księżycowy, albowiem ▶



Wjazd do Parku Prowincjonalnego Mt Robson - w tle najwyższy szczyt kanadyjskich Gór Skalistych (fot. A. Kulig).

W Hope kierujemy się na północny-wschód na autostradę #5. Początek jej stanowi Coquihalla, tym razem autostrada z prawdziwego zdarzenia, oferująca dwa, a nawet trzy pasy w tym samym kierunku. Do 2008 roku był to odcinek płatny, ale po spłaceniu kosztów jej budowy (ok. 850 mln dolarów) opłata ta została zniesiona. Tutaj można przycisnąć nieco pedał gazu, choć dopuszczalna maksymalna prędkość to 120 km/h. Ale po 186 kilometrach autostrada zmienia się znowu w tradycyjną, kanadyjską i trzeba nieco zwolnić.

Kamploops wita nas szarą zawiesiną dymów. Powodem są pożary okolicznych lasów, powszechne tu w sezonie letnim, gdy temperatura dochodzi do 40° C, czego nie wytrzymuje ściółka leśna. Tuż za Kamploops zatrzymujemy się na przydrożnym miejscu na piknik. Po zjedzeniu lunchu i rozprostowaniu nóg mkniemy dalej na północ. Musimy jeszcze nabrać paliwo, bo właśnie minęliśmy znak ostrzegawczy, że „następna stacja benzynowa za 110 km”, co też jest normą w odludnych miejscach Kanady.

Berg Lake, który będziemy zaczynać jutro. Po zrobieniu zdjęć jedziemy na pobliski kemping Robson Meadows, robimy namioty i idziemy spać. Oddaję głos Andrzejowi.

Podejście do Berg Lake + Toboggan Falls

Nasz wyjazd ma charakter samochodowo-trekkingowy. Po dłuższej jeździe samochodem pora pomyśleć o wędrowniaku. Aby wyruszyć w kierunku Berg Lake, potrzebna jest rezerwacja miejsca na kempingu. Centrum informacji otwierają o godz. 8⁰⁰. W sobotę 19 lipca 2014 r., okazuje się, że nie wszystkie kempingi są dostępne. Wybieramy Berg Lake, odległy o 21 km. Spakowani na trekking ruszamy ok. godz. 12⁰⁰. Czeka nas kilka godzin wędrowniaki i... dość szybko zaczyna padać deszcz. Bardzo przydatna okazuje się kupiona jeszcze w Warszawie „pielgrzymkowa” peleryna. Idąc w deszcz przez las, w otoczeniu pięknych wysokich szczytów, czułem się jak pielgrzym. W miarę mijania kolejnych

Wchodzimy w teren skalisty, wolny od jakiegokolwiek roślinności. Po około godzinie szlak zakręca w lewo i zaskakuje nas prześliczną łąką z wijącym się górskim strumieniem. Zatrzymujemy się na lunch i po krótkim odpoczynku ruszamy w górę, w stronę dobrze już widocznej przełęczy Snowbird. Po drodze mijamy dużo świstaków, które lubią śmiesznie stać słupka i nasłuchiwać, czy nie nadchodzi jakieś niebezpieczeństwo. W oddali widzimy stadko pasących się kozic, ale nie dają się podejść zbyt blisko. Podczas ostatniej fazy podejścia pogoda załamuje się i teraz pniemy się w górę przy dość silnym wietrze i w deszczu. Czy aby będzie z przełęczy coś widać...? Niepewni efektu dochodzimy do grani, spoglądamy w dół i widzimy... olbrzymie pole lodowe! Wrażenia są niepowtarzalne, magiczne, spotęgowane przez silny wiatr. Napawamy się nimi przez długą chwilę. Chciałoby się tu zostać dłużej, ale jest już późno. Schodzimy tą samą drogą. Przy zejściu mamy możliwość podziwiać ogrom lodowca, który rozciąga się przed nami jak na dłoni. Nieco niżej widzimy piękną dolinę, w której mamy obozowisko. Po dziewięciu godzinach wędrówki docieramy do namiotu zmęczeni, ale zadowoleni z trekkingu. Jeszcze tylko podgrzanie zupy „że łycha stoi” i udajemy się w objęcia Morfeusza.

Ku dolinie rzeki Fraser

Tuż po przebudzeniu biegniemy nad brzeg jeziora, aby zobaczyć przepiękne odbicie okolicznych gór w jego tafli. Podziwiamy całkowicie odsłonięty szczyt Mount Robson. Szykujemy się już na zejście 21-kilometrowym szlakiem, który pokonaliśmy 3 dni temu. Zwijamy namiot i ruszamy w drogę powrotną. Idzie się dużo szybciej i łatwiej niż 3 dni temu, bo i plecaki lżejsze ☺, i słońce! Bujamy się na podwieszonym mostku, mijamy kolejno wszystkie pola kempingowe. Czerokilometrowy stromy odcinek, tak mozolny pod górkę, teraz mijamy bez problemu. Nadal próbujemy znaleźć „bear pole” (słupy z linką do wciągania worków z żywnością w celu zabezpieczenia przed niedźwiedziami), ale, pomimo różnych znaków, bezskutecznie. Okazuje się, że wszystkie zostały zamienione na metalowe skrzynki, głównie z powodu łatwości obsługi. W jednym ze schronisk jemy lunch, składający się m.in. z paprykarza szczecińskiego (w końcu Darek pochodzi ze Szczecina) oraz zupy

„Gorący kubek”. Ostatni odcinek dłuży się. Te 75 km, przebyte w ostatnich czterech dniach, dają o sobie znać. Wreszcie docieramy do samochodu. Cóż to za ulga zdjąć buty trekkingowe i założyć lekkie sandały! Szybko podjeżdżamy do biura informacyjnego przy autostradzie i rezerwujemy na najbliższą noc domek w pobliskim ośrodku wypoczynkowym. Okazuje się to znakomitym pomysłem, bo mamy możliwość rozwieszenia mokrego namiotu, dosuszenia śpiworów i doprowadzenie do porządku całego sprzętu. No i wzięcia ciepłego prysznica, pierwszego od czterech dni, oraz wypania się w normalnych łózkach. Oddaję głos Andrzejowi.

White water rafting + Jasper

Kolejny dzień ma mieć charakter odpoczynkowo-relaksowy w drodze do miejscowości Jasper. Bungalowy są zlokalizowane nad brzegiem rzeki Fraser. Jest to najdłuższa, licząca 1400 km, rzeka Kolumbii Brytyjskiej, która w Vancouver, poprzez cieśninę Georgia, wpada do Oceanu Spokojnego. Okazuje się, że administrator „Mount Robson Lodge” jest także organizatorem „White water rafting”, czyli górskich spływów pontonowych. Międzynarodowa skala trudności raftingu ma 6 stopni. Po lekturze książki A. Fiedlera pt. „I znowu kusząca Kanada”², w której opisana została rzeka Fraser, upewniam się co do stopnia trudności spływu. „Trójka”. Coś w sam raz dla mnie po górskiej wędrówce. D&D zgadzają się przesunąć godzinę wyjazdu do Jasper, więc rezerwuję miejsce w pontonie i umawiam się na spływ na następny dzień. We wtorek rano zgłaszam się w umówionym miejscu w celu pobrania odpowiedniego stroju i dołączenia do grupy. Po krótkim instruktarzu spuszcza pontony na wodę w miejscu, w którym rzeka spokojnie płynie w szerszym korycie. Płynąc w dół rzeki, mogę jedynie przez chwilę podziwiać panoramę Mount Robson. Później wartki nurt skupia uwagę siedmioosobowej „załogi” i sternika na wiosłach. Po pokonaniu bystrzy wypływamy na spokojniejszy odcinek rzeki, gdzie można popływać.

Zrelaksowany wracam do bungalowu pakować resztę bagażu i wyruszamy w drogę, do malowniczego miasteczka Jasper, położonego w prowincji Alberta. Kanadyjczycy nie mają bardzo wielu

autostrad, ale na głównej transkanadyjskiej nie ma bramek i „korków”, mimo że jak mówią miejscowi: w Kanadzie są dwie pory roku: zima i sezon prac drogowych. Gdy po południu meldujemy się na miejscu, pozostaje nam kilka spraw organizacyjnych do załatwienia, ale wpadamy na chwilę na dworzec kolejowy, aby obejrzeć kultowy „Rocky Mountaineer”, który właśnie podjechał do peronu, a przy którym rozścielany jest mały dywanik dla wysiadających pasażerów.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Columbia Icefield

Następny dzień wita nas słońcem. I bardzo dobrze, bo czeka nas jazda autostradą z Jasper w kierunku kanadyjskiego „Zakopanego” - Banff. Icefield Parkway to ponad 200 km drogi, wiodącej przez dwa parki narodowe Gór Skalistych: Jasper National Park oraz Banff National Park. Oferuje tak spektakularne widoki, że na kolejnym przystanku Andrzej komentuje: „ależ tu się w ogóle nie da jechać!”. I nic dziwnego, bo widoki gór, przekraczających nierzadko trzy tysiące metrów, robią niesamowite wrażenie. Dziś mamy do pokonania ok. 100 km, albowiem naszym celem jest Glacier Discovery Centre - turystyczny ośrodek, położony tuż przy Columbia Icefield z lodowcem Athabasca. Jest też nowa atrakcja, otwarta dopiero od kilku tygodni: Skywalk, co można przetłumaczyć na „podniebny spacer”. Wszyscy jesteśmy tego ciekawi, więc kupujemy bilety i pakujemy się do autobusu, który po 10 minutach wysadza nas przy bramie do platformy, zawieszanej nad kanionem górskiej rzeki Sunwapta. Otrzymujemy słuchawki z nagranyimi informacjami, których będziemy słuchać indywidualnie w miarę przesuwania się do kolejnych punktów ekspozycji. Spacer zaczyna się od długiej promenady z różnymi popularnonaukowymi ekspozycjami. Jedna z nich opisuje mechanizm powstawania lodowca, inna pokazuje sylwetki i tropy zwierzyny, którą można spotkać w tych okolicach, inna opisuje całe przedsięwzięcie od strony inżynierskiej. A jest to konstrukcja doprawdy imponująca! Pod sam koniec promenada przechodzi w pewnego rodzaju podkowę, zawieszoną na wysokości 280 m nad kanionem. Ma 30 m długości i ok 2 m szerokości, a jej podłoga zrobiona jest ze szkła! Gdy na nią wchodzimy, kolana niektórych uczestników spaceru zaczynają odmawiać

posłuszeństwa. Myślmy, w końcu to 175 ton stali i 5 ton szkła! Aby utrzymać całość, w skałę zostały wkute 34 stalowe pręty, na długość ok. 16 metrów każdy. Całość musi być dobrze amortyzowana, aby konstrukcją nie huśtało, np. pod wpływem wiatru lub pochylenia się zwiedzających. I faktycznie cel został osiągnięty, bo po oswojeniu się z ideą „podniebego spaceru” możemy zacząć podziwiać widoki. Pod stopami widzimy rzekę Sunwapta, wijącą się na samym dole kanionu oraz formacje skalne, które wyźłobiła. Przed nami rozciąga się widok na Columbia Icefield, mieniący się w słońcu lodowiec o grubości ok. 100 metrów. Podziwiamy widoki, idąc powoli zawieszoną w powietrzu podkową i słuchamy informacji ze słuchawek. Potem powrót do autobusu, którym wracamy pod Columbia Icefield.

W Glacier Discovery Centre zjadamy coś na szybko i ruszamy na poszukiwanie miejsca na dzisiejsze spanie. Znajdujemy je na polu kempingowym Columbia Icefield, zaopatrzoną nie tylko w miejsce na rozbicie namiotu i rozpalenie ogniska, ale również w altanę ze stołami i piecykami, pozwalającymi na wysuszenie sprzętu i ogrzanie się. Pod namiot wybieramy miejsce z widokiem na lodowiec i ruszamy na dalsze zwiedzanie.

Teraz mamy możliwość obejrzenia lodowca Athabasca. Idziemy pod jego dolny jęzor. Mijamy tabliczki z oznaczonymi latami. Pokazują one miejsca, do których dochodziło czoło lodowca w różnych latach. Pierwsza data to rok 1908. Z niedowierzaniem patrzymy na dzisiejsze czoło, oddalone o ponad 2 km! Potem kolejne lata, każda z tabliczek oddalona jest od poprzedniej o kilkaset metrów. Podążamy wzdłuż drogi i dochodzimy do moreny czołowej. Widzimy olbrzymie tablice, ostrzegające o niebezpieczeństwie, jakie czyha na potencjalnych amatorów spaceru po lodowcu, z nadmienieniem wypadków śmiertelnych. To na nas działa, wszak wiemy o szczelinach, które mogą być zakryte tylko niewielką warstwą śniegu, oglądamy więc czoło Athabasca z oddali. W świetle zachodzącego słońca lody wyglądają intrygująco. Wieje od nich silny wiatr, który powoduje, że temperatura waha się w okolicach 5 stopni C. Mimo końca lipca upału nie ma ☺.

Po powrocie do Centrum zaszywamy się w dość eleganckiej, jak na to

puszcie, restauracji i zamawiamy kolację, którą spożywamy, podziwiając lodowiec Athabasca, teraz coraz bardziej spowity w ciemności. Na życzenie Andrzeja wspominamy długą drogę z Polski na zachodnie wybrzeże Kanady – do Vancouver. Oddaję głos Andrzejowi.

Lake Louise

W Kanadzie wciąż słyszę o niedźwiedziach. W Górach Skalistych rzucają się w oczy wszędobylskie tablice informacyjne i ostrzegawcze, jak zachować się, aby nie wejść w drogę „misiowi”. I tak postępujemy. Żywność zabezpieczona, odpady starannie zebrane i umieszczone w bezpiecznych pojemnikach. Ale z drugiej strony, historie z niedźwiedziami są jak opowieści o potworze ze szkockiego jeziora Loch Ness. Wszyscy wiedzą, że jest, lecz nikt go nie widzi. Gdy w drodze do Lake Louise widzimy tłum ludzi na autostradzie i trzeba gwałtownie hamować, okazuje się, że życzenia się spełniają. Po pobliskim stoku góry spaceruje, albo lepiej powiedziec - skrada się niedźwiedź. Odległość jest bezpieczna, więc duża gratka dla podróżujących, aby zrobić zdjęcia.

Lake Louise, nazywane „*Jewel of the Rockies*”, położone jest w małej lodowcowej dolinie, otoczonej malowniczymi, pokrytymi lodowcami szczytami. Nasz plan na piątek 25 lipca jest typowy – udać się na całodzienną wędrowkę jednym ze szlaków wytyczonych wokół jeziora. Najpierw wstępne: „wow”, och! i ach!, pamiątkowe zdjęcia, a następnie obok znanego ogromnego, luksusowego hotelu The Fairmont Château Lake Louise, który jest położony na jednym z krańców jeziora, wchodzimy na górską ścieżkę. Widoki wspaniałe. Obserwuję niezwykle efekty procesów erozyjnych. W miarę zwiększania się wysokości zmniejsza się ilość i wysokość roślin, przybywa kamieni i zmniejsza się odległość do lodowców. Przyznaję, lubię łączyć z nimi poobcować. Nie tylko dla ochłody. Wciąż czytam o różnych teoriach na temat ocieplania klimatu, którego jednym z efektów jest podobno topnienie lodowców. Nie wiem tylko, czy lodowce to wiedzą. Fakt, ich zasięgi sukcesywnie się zmniejszają. Moreny lodowcowe czołowe i boczne oddalają się od granic współczesnych lodowych jęzorów. Ale tak dzieje się od ponad stu lat, gdy jeszcze trudno było mówić o globalnych efektach uprzemysłowienia i urbanizacji.

Może kiedyś wrócę do tego tematu, ale teraz skupiam się na wędrowce, bo staje się ona coraz trudniejsza. Na dodatek Danka wypatrzyła niedźwiedzie ślady (odchody). Wzmogła tym naszą czujność i z jeszcze większym zapalem przyglądamy się zagajnikom i leśnym gęstwinom. Na parking schodzimy już po zapadnięciu zmroku, jako jedni z ostatnich turystów. Jutro czeka nas ciąg dalszy serialu „*Piękno górskich jezior*”.

Halo, tu Danuta z Vancouver:

Moraine Lake

Moraine Lake każdemu Kanadyjczykowi kojarzy się przede wszystkim z... banknotem dwudziestodolarowym, bowiem do niedawna jego wizerunek widniał na tym nominale. I nic dziwnego, bo to przepiękne oczko wodne z dziesięcioma szczytami dookoła jest kwintesencją Gór Skalistych. Gdy powierzchnia jeziora jest gładka i lśniąca (tafla), co zdarza się zazwyczaj bardzo wcześnie rano lub tuż po zachodzie słońca, szczyty odbijają się perfekcyjnie w jego toni, co wygląda jak lanszaft. Dlatego też jest to mekka turystów, zwłaszcza że można tam dojechać samochodem. My rozpoczynamy jednak bardziej ambitnie, idziemy na jedenastokilometrowe przejście Valley of the Ten Peaks. Szlak zaczyna się od ostrzeżenia o niedźwiedziach w okolicy i nakazie przebywania w grupach co najmniej czteroosobowych. „Kolejno odlicz” wykazuje brak jednej osoby. No cóż... Idziemy śmiało, bo wokół nas są inne grupki, też niekoniecznie zgodne z ostrzeżeniem. Będziemy pohukiwać, aby odstraszyć ewentualnych intruzów.

Pierwszy etap to zwykły szlak w lesie, zygzakujący miarowo pod górę. Ale po półtorej godzinie dochodzimy do płaskowyzu z łąkami i dwoma niewielkimi stawami. Odwracamy się w stronę dziesięciu szczytów z dwudziestodolarówki i widzimy widok wprost zapierający dech! Góry pokryte wiecznymi śniegami, na jednej widać jęzor lodowca, a to wszystko skąpane w promieniach słońca. Podziwiamy to cudo przez dłuższy czas, po czym kierujemy się w stronę przełęczy Sentinel Pass, prowadzącej do sąsiedniej doliny Paradise Valley (Rajska Dolina).

(ciąg dalszy na stronie 34)



Lodowcowe jezioro Moraine w Dolinie Dziesięciu Szczytów na terenie najstarszego kanadyjskiego Parku Narodowego Banff (fot. A. Kulig).

(dokończenie ze strony 29)

I tu napotykamy na niespodziewaną przeszkodę - strażnika przyrody. Park Ranger policzył nas i też mu wyszło, że brakuje nam jednej osoby. Odpieramy, że owszem, mieliśmy komplet, ale jednego zjadły już niedźwiedzie ☺. Nam ten żart wydaje się zabawny, ale jemu jakoś nie bardzo i mówi, że nie może pozwolić nam iść dalej. Zaczynamy go przekonywać, przecież cały szlak jawi się przed nami jak na dłoni, na tej wysokości nie ma już wysokiej roślinności, i jeśli byłoby niebezpieczeństwo, widzielibyśmy je na kilkaset metrów. Wreszcie nas puszcza, ale pod warunkiem, że w drodze powrotnej dołączymy do innej grupki.

Zadowoleni z obrotu sprawy, kierujemy się na wąską ścieżkę i do celu

dochodzimy po pół godzinie. Na przełęczy napotykamy dość dużych rozmiarów kolebę. Ktoś musiał tu nocować i zbudował ją sobie z kamieni dla ochrony przed wiatrem. Po drugiej stronie grani rozciąga się Paradise Valley z kilkoma szczytami, wyglądającymi na dobry cel dla wspinaczy. Na grani jesteśmy krótko, bo robi się późno, a musimy jeszcze znaleźć grupę, do której można by się dołączyć. Schodzimy do łąk i zatrzymujemy się na lunch, zastanawiając się, jak mamy kogoś znaleźć do towarzystwa. Nagle na ścieżce od przełęczy pojawiają się dwie sylwetki. Dwoje ludzi schodzi dziarsko w dół. Skąd oni się tam wzięli? Gdy dochodzą do nas, pytamy, czy możemy do nich dołączyć, bo strażnik

przyrody tak nam przykazał. Para jest nieco zdziwiona, bo im nikt nic takiego nie nakazywał. Ale godzi się na wspólne wędrowanie przez las. Okazuje się, że wracają z Paradise Valley, gdzie wspinali się na jeden ze szczytów, które widzieliśmy z grani. To wyjaśnia, skąd wzięli się na przełęczy. Idą dość szybko, więc przy Moraine Lake jesteśmy już po trzech kwadransach.

Teraz mamy czas na podziwianie lanszaftu. Wdrapujemy się na pobliski morenowy pagórek, aby lepiej zobaczyć odbicie szczytów w jeziorku. Słońce chyli się ku zachodowi. No i mamy widok: szczyty odbite w wodzie! Bardzo dobre zakończenie dzisiejszego dnia! Oddaję głos do Warszawy.



Rafting na „spienionej wodzie” (poziom średnio-zaawansowany) na rzece Fraser (fot. ze zbioru A. Kuliga).



Spektakularna tęcza „rozwieszona” nad doliną Berg Lake (fot. D. Jaworska).



Wędrowcy (od prawej: Danuta, Darek i Andrzej) powyżej wodospadów Toboggan Falls – w tle Mt Robson (fot. ze zbioru D. Jaworskiej).

A droga do Warszawy daleka. Po drodze „zaliczyliśmy” wizytę w Banff. Warte zobaczenia, ale trudno pobyc w nim dłużej. Pora pomyśleć o powrocie do Vancouver. Tym razem droga wiedzie przez rozległą dolinę Okanagan, pokrytą winnicami, przy których pracują winiarnie, oferujące rozliczne smaki win. Nam udaje się ją pokonać przez dwa dni tylko dlatego, że naszym pragnieniem jest spędzenie jednego dnia pod żaglami. Następnego dnia, we środę, po kilkugodzinnym żeglowaniu, wracamy do portu obejrzyć doroczne widowisko z fajerwerkami, chcącymi podkreślić, że pora się żegnać.

W czwartek, ostatni dzień lipca 2014 r., robię porządek w swoim bagażu. Danuta pomaga skompletować niezbędne kanadyjskie atrybuty. Kanada pachnąca żywicą? Szczerze mówiąc, po spędzeniu w jej lasach kilkunastu dni nie mogę tego potwierdzić. Dla mnie Kanada będzie „pachnieć” pięknymi widokami gór, nie tylko skalistych, pokrytych lasami i jezorami lodowców. Pozostanie także w pamięci jako cel udanej wyprawy w doborowym towarzystwie Danuty i Darka. Kanada jest krainą klonu, symbolizowaną flagą z klonowym liściem. Zamiast żywicy z lasów sosnowych króluje wszędobylski syrop klonowy, wytwarzany początkowo przez Indian w północno-wschodniej części Ameryki Północnej na długo przed przybyciem Europejczyków. Dla mnie porcja syropu klonowego będzie podstawą uszlachetnienia domowej pigwówki, więc nie powinienem o nim zapomnieć. Popołudniowy lot z Vancouver do Londynu oznacza podróż przez całą Kanadę. Po około godzinie lotu jestem nad Jasper National Park. Mam nadzieję, że nie ostatni raz podziwiam fantastyczne widoki na Rockies – szczyty pokryte lodowcami, rozdzielone dolinami rzek i jezior. Przez kilka godzin samolot leci po „granicy” nocy i dnia – na północy przez cały czas widać wschodzące słońce, mimo że w dole i na południe od toru lotu panuje noc. W Warszawie ląduję 1 sierpnia wczesnym popołudniem w pełnym słońcu. Dziękuję, D&D.

Andrzej KULIG i Danuta JAWORSKA

Fotografie ze zbioru A. Kuliga i D. Jaworskiej Torbole sul Garda & Vancouver, wrzesień 2014 r.

¹ Kulig A. (2007): *Z Beskidu Wyspowego w Andy. Aconcagua – Kamienny Strażnik*. EL nr 152-153, r. XV, s. 24-27 (<https://sites.google.com/site/andrzejkuligopz/hobby-za-interesowania-i-aktywnosc-pozazawodowa/turystyka-wysokogorska>).

² Fiedler A. (2014): *I znowu kusząca Kanada*. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o. Pelplin.